

Czadowe siostrzyczki

"Zakonnica w przebraniu" Alana Menkena w reż. Jacka Mikołajczyka w Teatrze Muzycznym w Poznaniu. Pisze Błażej Kuztelski.

"Zakonnica w przebraniu" to jak dotąd najbardziej musicalowa spośród musicalowych propozycji repertuarowych poznańskiego Teatru Muzycznego. Po pierwsze dlatego, że jako widowisko nasyciona jest śpiewem i muzyką w stopniu szczególnym. Po wtóre - to chyba najbardziej czadowa, a więc dynamiczna pozycja w tym teatrze, choć może w układach zbiorowych ustępuje precyzją i komizmem "Hallo, Dolly", prezentowanej na tej samej scenie.

W dodatku "Zakonnica" jest pod względem muzycznym najbliższa upodobaniom szerszej publiczności. Nie zdziwię się więc, jeśli okaże się hitem repertuarowym tej sceny, tym bardziej iż nie brakuje w niej piosenek przebojowych (w stylu disco), w dodatku na ogół świetnie wykonywanych, a już zbiorowo śpiewanych wręcz brawurowo. Zresztą spektakl wyreżyserowany zreżymie przez Jacka Mikołajczyka (jest on także autorem zgrabnego przekładu) został pod względem nie tylko wokalnym, ale także muzycznym przygotowany w sposób budzący aplauz: orkiestra prowadzona znakomicie ręką Piotra Deptucha gra precyzyjnie i stylowo, a ruch sceniczny (Ewelina Adamska-Porczyk) dynamizuje przedstawienie i w sumie mimo pewnych mankamentów stanowi jeden z jego walorów. Warto dodać, że poznańska realizacja jest ponadto polską prapremierą.

Jak wiadomo, teatralna "Zakonnica" powstała na kanwie znanego filmowego musicalu (z Whoopi Goldberg) o tym samym tytule. Wart podkreślenia jest fakt, iż jej poznańska realizacja trafia na deski teatru zaledwie 7 lat po światowej prapremierze londyńskiej, a 4 lata po Broadwayu, stanowiąc propozycję ciągle świeżą repertuarowo i nieograną. Trzeba oczywiście zaznaczyć, że musical Alana Mankena, z librettem Cheri i Billa Steinkellnerów, dość znacznie odbiega od filmu, a wszystkie piosenki stworzono specjalnie dla scenicznej wersji, co niewątpliwie również podnosi jej atrakcyjność. Widzowie znający film mogą więc oczekiwać w teatrze nowych zupełnie wrażeń.

ZAKONNY TEAM I MERZEL

W pierwszej obsadzie, którą widziałem podczas przedpremierowego spektaklu, w tytułową rolę Deloris, piosenkarki ukrywającej się w klasztorze przed bandytami, wciela się Olga Szomańska. I bez wątpienia na niej spoczywa ogromny ciężar, musi bowiem dźwigać jeden z dwóch głównych filarów przedstawienia. Na ogół wychodzi z tego obronną ręką, gra z dużą swobodą, a pod względem wokalnym jest sporym atutem przedstawienia. Drugi filar dźwży zbiorowo znakomity głosowo i sprawny ruchowo team zakonnych siostrzyczek. To one nade wszystko nadają czadu temu przedstawieniu. Scenicznie najmłodsza z nich, postulantka zakonna, może też oczarować solową piosenką i piękną liryczną barwą głosu (Edyta Krzemień). W sukurs siostrzyczkom idzie także ich duchowny opiekun (Arnold Pujsza), zabawny, kiedy podczas nabożeństwa czyni ze zbiórki na rzecz klasztoru swoisty show.

Niewątpliwie najlepiej aktorsko prezentuje się Barbara Melzer jako siostra przełożona. Buduje swą rolę oszczędnymi środkami, wyraziście i sugestywnie, kreśląc postać nieco kostywną i chłodną, ale w gruncie rzeczy sympatyczną. Nutkę ironii czy ciepłego komizmu wydobywa bez odrobiny zgrywy czy przesadnych środków aktorskich. W swojej popisowej piosence (zresztą świetnej tekstowo i subtelnej muzycznie)

z powodzeniem zmieściłaby się w onegdajszym Kabarecie Starszych Panów. Zresztą Melzer niekiedy - takie mam wrażenie - bawi się w scenach mówionych barwą głosu, która przywodzi na myśl Barbarę Kraftównę. Dodam, że i wykonawczynie tytułowej roli co rusz, w partiach mówionych, barwą głosu upodabnia się (tak mi się wydaje) do Goldberg lub do... Stalińskiej. Do tej ostatniej szczególnie wtedy, kiedy stara się swej postaci przydać prostackiej (z całym szacunkiem do Doroty Stalińskiej - przyp. mój) proveniencji.

Spśród natomiast męskich wykonawców najlepsze wrażenie sprawia (i aktorsko, i wokalnie) Tomasz Steciuk - jako Curtis, bezwzględny szef podejrzanego baru i grupki przestępców. W sumie jednak cały zespół realizatorów i wykonawców zapracował na końcowy efekt, czyli na widowisko, które ma odpowiednią dynamikę, łącząc komiczne akcenty ze zróżnicowanym tempem i zmiennym nastrojem, a przede wszystkim z wokalnno-muzyczną ekspresją.

KILKA SZPILEK SIĘ PRZYDA

Scenografia Grzegorza Policińskiego raz bywa lepsza, raz gorsza, najlepsza wtedy, kiedy operuje jedynie światłem i pustą przestrzenią, albo pojedynczym rekwizytem: biurko lub konfesjonał. Niezła jest też wtedy, kiedy prezentuje wnętrze klasztoru. Z kostiumami Ilony Binarsch też jest różnie, ale te nawiązujące do lat 70. (bo w tym czasie rozgrywa się akcja) jakoś trącą myszką i są nazbyt "teatralne", z kolei kostiumowy blichtr finałowej sceny (z założenia: niebiański show), choć wiem, że celowo przecież tak skrojony, z przymrużeniem oka, ociera się jednak z lekka o estradowy banał.

Bez wątpienia można też było darować sobie kilku zbędnych wulgaryzmów, które ani nie śmieszają (choć pewna część widowni rechocze), ani nie przydają kolorytu postaci scenicznej. Nadto wykonawczynie tytułowej roli zbyt szarżuje, udając w pierwszych scenach w klasztorze prymitywną prostytutkę. Ale i siostrzyczki zachowują się początkowo nienaturalnie, zgoła jak szkolne dziełatki albo wręcz idiotki, co wcale nie jest śmieszne. Po pierwszej słabszej sekwencji, po scenie na posterunku policji, widowisko włącza jednak trzeci bieg i biegnie coraz sprawniej, a potem toczy się już chyba na "piątym", bez zgrzytów, i sprawnie zmieniając tempa. Jestem pewien, że po kilku przedstawieniach, kiedy wszystko się dotrze i być może nastąpią jakieś korekty, całość funkcjonować będzie na medal. Moim zdaniem, tak czy inaczej, kilka pierwszych scen wymagałoby drobnych retuszy, łącznie z pierwszą sceną w barze, w której na dodatek solistkę zagłuszają instrumenty. Na szczęście, w kolejnych partiach wokalnych budzą się akustycy, i pod względem muzycznym przedstawienie już do końca prezentuje naprawdę bardzo dobry poziom.

LATA ŚWIETLNE

Uff, pora na koniec zrzucić maskę marudy i powrócić do komplementów. Teatr poznański, prowadzony od kilku sezonów przez dyrektora Przemysława Kieliszewskiego i szefa artystycznego Piotra Deptucha, w szybkim tempie niweluje dystans, jaki jeszcze do niedawna dzielił go od najlepszych scen musicalowych w kraju. Jeszcze nigdy teatr przy Niezłomnych nie osiągnął takiego pułapu jak obecnie, a najlepsze realizacje z ostatnich 3 sezonów dzielą lata świetlne od tych z okresu poprzednich dyrekcji. Aż strach pomyśleć, co mógłby jeszcze poznański teatr muzyczny osiągnąć, gdyby uzyskał scenę i widownię z prawdziwego zdarzenia.

Błażej Kuztelski
Materiał nadesłany
03-10-2016